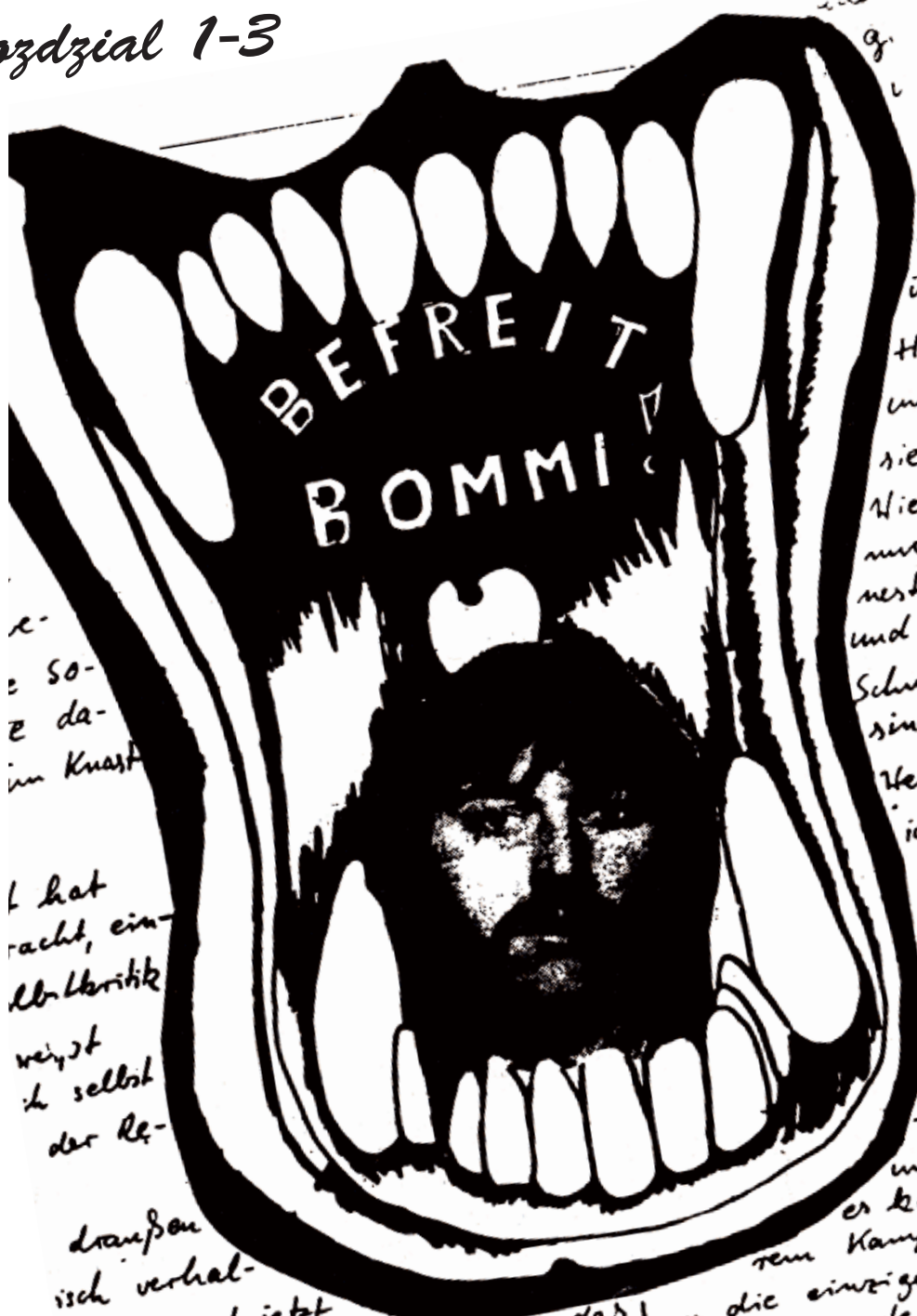


Bommi e Baumann

JAK TO SIĘ WSZYSTKO ZACZEŁO. WSPOMNIENIA ZACHODNIONIEMIECKIEGO PARTYZANTA MIEJSKIEGO

Rozdział 1-3



e-
e so-
e da-
im Knast

t hat
macht, ein-
Abkritik
weist
s selbst
der Re-

draußen
isch verhal-
Dar ist jetzt

in
Hue
unse
sie s
Wie re
nur se
nestie a
und die
Schulberu
sind.

Wenn ich
ich le
der,
man
Heng
Also
mein
re wa
und so

er kann
rem Kampf
um die einzige bei
Die Sache der Te



Wrzesień 2019
Wydawnictwo "Grecja w Ogniu"

Rozdział I

JAK TO SIE WSZYSTKO ZACZEŁO

Pprzed Opozycją Pozaparlamentarną (A.P.O. – Ausserparlamentarische Opposition, radykalny ruch studencki w Niemczech późnych lat 60.) i w ogóle pojawieniem się czegoś w tym stylu, byłem wzorcowo normalną osobą, całkowicie przystosowanym uczniem. Przed tym wszystkim byłem po prostu chłopakiem ze szkoły.

Przybyliśmy z Niemiec Wschodnich kiedy miałem 12 lat, a tu w Zachodnich musiałem powtarzać rok w szkole ze względu na przeprowadzki. Potem poszedłem w praktyczną działkę – tak właśnie, zrobiłem gimnazjum do 8 – ej klasy, odszedłem i podjąłem się praktyk jako robotnik budowlany. Potem rzuciłem praktyki, wykonywałem wszystkie rodzaje gównianej pracy aż do około `65, kiedy to moja historia przestała być tak konformistyczna. Właściwie to dla mnie wszystko zaczęło się z muzyką rockową i długimi włosami. Byli Beatlesi, Stonesi, Byrds i tak dalej. Także Them. Nie słuchałem tylko rocka, ale też bluesa, Johnny`ego Lee Hookera i tego typu gości.

W tym czasie w Berlinie było tylko kilka miejsc, gdzie można spędzać wolny czas: tzw. hipisowskie stawy jak Gammlertreffen, Gedächtniskirche (Kościół Pamięci), Dicke Wirtin, Seeschlösschen czy Top Ten. Zwykle miejsca jak Big Apple (Wielkie Jabłko) czy Eden nie były miejscami dla nas. W `65 odbywały się tam tańce młodzieżowe z uczennicami w białych podkolanówkach.

W tym miejscu zaczyna się moja historia. Tak długo jak pozostajesz dostosowany, nie wpadasz w szaleństwo. Jednocześnie odczuwasz instynktowną reakcję przeciw stresowi, przeciw presji na podporządkowanie. Od kiedy jesteś w systemie, idziesz w to automatycznie, ponieważ nie wiesz ani nie widzisz nic innego, nie masz też żadnych alternatyw. Tak naprawdę nie wiesz co mógłbyś zrobić inaczej.

W moim przypadku, na początku w Berlinie, to było tak: jeśli masz długie włosy, pewne rzeczy nagle zaczynają cię dotykać tak jak Czarnych. Kapujesz? Wyrzucali nas z knajp, przeklinali i ganiali – mogłeś

liczyć tylko na ciągle kłopoty. Byłeś zwalniany lub nie dostawałeś w ogóle pracy. Albo dostawałeś te odrażające, bardzo nisko płatne. Do tego ciągle kłopoty z nieznanymi spotkaniami na ulicy. Ale ja byłem całkowicie normalną osobą. Ze mną było tak: nagle widzisz związek między samym sobą a muzyką bluesową i problemami, które ona porusza, takimi jak sytuacja Czarnych. I nagle Ty też jesteś Czarnym, czy Żydem, czy trędowatym. W każdym razie jesteś na pozycji wyrzutka.

Dla mnie było to jasne od samego początku: lubiłem długie włosy – z długimi włosami rozwijasz inną relację z samym sobą, to jak nowa tożsamość. Przynajmniej u mnie tak było. Rozwijasz ten zdrowy narcyzm, który jest ci po prostu potrzebny by przetrwać. Po wstępnym zamieszaniu, stajesz się bardziej świadomy i zaczynasz lubić siebie.

Kiedy mieszkaliśmy w Berlinie, dorastałem na jednym z tych gównianych przedmieść dla klasy robotniczej. Tu było się naprawdę odizolowanym i brakowało ludzi z którymi można by spędzić trochę wolnego czasu. To było prawdziwym osiągnięciem jeśli udawało ci się przetrwać taki stan rzeczy. Zawsze miałeś problemy, nawet z innymi młodymi ludźmi. Konformiści zerwali z tobą kontakt, oczywiście – oni nie chcieli być wrzuceni do tego samego worka, co ty, albo mieli problemy w domu – wiesz jak to jest. Więc zaczynasz utrzymywać kontakt z kilkoma ludźmi takimi jak ty, odrzuconymi, czy jak tam chcesz ich nazywać. Inaczej zaczynasz postrzegać samego siebie.

Nigdy wcześniej nie spojrzałem na książki, bo żadna mnie nie zaciekała, co najwyżej Karl May czy Jerry Cotton, tego rodzaju westernowe gówno. Potem zacząłem czytać Allena Ginserga, Jacka Kerouacka, Sartre`a, Jacka Londona też – ludzi, którzy przechodzili przez podobne rzeczy. Te wpływy były istotne w okresie gdy zaczynaliśmy wyrwać się z domu.

Pierwszego dnia praktyk, w drodze na budowę, uderzyła mnie taka myśl: zamierzasz robić w tym przez 50 lat, nie ma od tego ucieczki. Przeszył mnie strach. Zacząłem szukać dróg wyjścia z tej sytuacji.

Byłem outsiderem nawet w Berlinie Wschodnim, bo nie uczestniczyłem w Pionierach (odpowiednik skautów i harcerzy). W domu otaczały mnie kobiety, zdawałem sobie sprawę, żeby zawsze pozostawać wiernym samemu sobie, przeciw dominującej presji. Więc „wycofanie się” (drop out) przyszło mi łatwo, poszedłem za tym – pierwszy raz nie byłem osamotnionym buntownikiem, znalazłem w tym pewien filozoficzny azymut filozoficzny, jeśli wiesz co mam na myśli.

Wiele ze swych akcji możesz wytłumaczyć i zanalizować dopiero wtedy, gdy się wydarzą. Rozpoznajesz swoje wcześniejsze intuicyjne rebelie jako całkowicie odpowiednie, właściwe zachowanie w obliczu burżuazyjnej ciemnoty.

Ruch zaczyna się w Europie w `64 i `65, powiększa się, sięga po więcej, po raz pierwszy zostaje rozpoznany jako zjawisko i zauważony przez media. W tych latach wśród „powojennego pokolenia” następuje rzeczywisty przełom. Przedtem, były to odosobnione grupy osób. Potem przybrało to szerszy zasięg, tutaj w Niemczech. Już wcześniej istniały postacie takie jak Pedro czy Boras – wiecie, archetypy czy dziadkowie Ruchu, wywodzący się z bohemy, żyjący na ulicy. Z racji naszego wieku jesteśmy drugą falą. Może nasza polityczna świadomość była nieco mniejsza, ale dla tych, którzy się przyłączyli było to przede wszystkim nowe, i po raz pierwszy przyciągało wielu ludzi. Całe to zjawisko, wraz z muzyką, ubraniami, włosami – cała ta powierzchowność – stworzone dla szerszego grona – wreszcie udało się dzięki temu przezwyciężyć naszą wcześniejszą izolację.

Przedtem ruch składał się niemal wyłącznie z bohemy. W `65 po raz pierwszy uczestniczyli w tym zwykli ludzie. Bohema, pseudo – artyści – to zawsze była sprawa elitarna. Tak właśnie, czuli się lepsi od każdego, po prostu obrażając burżuazję. Oczywiście, mieli swoje obskurne symbole i rytuały, jak wojskowe kurtki typu parka z politycznymi hasłami (np. antynuklearna kampania „Ban the Bomb”) czy naszywkami grup rockowych, rysunkami smutnych ludzi i tym podobnymi rzeczami. To wtedy organizowano Marsze Wielkanocne – pierwsze demonstracje przeciwko wojnie w Wietnamie.

Powoli łąpałem kontakt ze sceną polityczną, był to stopniowy proces. Wygląda to tak, że ciągle rodzi się w tobie bunt ze względu na twój stosunek do burżuazyjnego świata. Później robi się to

bardziej polityczne, tak jak było z tabloidami Axela Springera w rodzaju „Bild” – oni zawsze nas nienawidzili. Nikt nie mógł znieść tej świni Springera, ponieważ był on największym podżegaczem* (*- Axel Springer to największy w Niemczech wydawca gazet i magazynów oraz konsekwentny zwolennik chrześcijańskich demokratów. Jego wydawnictwa, zwłaszcza Bild-Zeitung prowadziły nieprzerwaną kampanię przeciwko Nowej Lewicy i kontrkulturze.). Jak po tym koncercie Rolling Stones w Waldbühne, kiedy wszystko zostało zniszczone (koncert zakończył się po 25 minutach, gdy przerodził się w masowe zamieszki). Tam się to zaczęło. Polityczne treści nadeszły wraz z tą konfrontacją i demonstracjami antywojennymi.

W tym czasie ciągle mieszkałem w domu rodzinnym. Inni również. Więc nasz dzień wyglądał mniej więcej jak każdego robotnika. Wstajesz rano, wszyscy wstają, każdy idzie do pracy, ojciec, matka. Pędzisz na autobus. Oczywiście rano jestem kompletnie rozbity. Siadam w autobusie. Najczęściej bez śniadania, bez pieniędzy na papierosy, choć każdy wokół pali. To wkurza.

Miasto zawsze mi przeszkadzało, bo dorastałem na wsi – sterty fabryk powodują u mnie ból dupy. Więc siadasz w autobusie, i słyszysz te same rozmowy, widzisz te same twarze, jedna bardziej zębana i przepita od drugiej. Albo słyszysz o tym samym gównianym filmie telewizyjnym, który też widziałeś wczoraj wieczorem. I następnego dnia to samo, tysiące interpretacji tego gówna. Głodny i niespokojny idziesz do roboty, gdzie też jesteś jako praktykant Panem Dupkiem. Nie widzisz w tym sensu, nie chcesz już uczyć się rzemiosła. Rodzi się w tobie chęć zburzenia, przzerwania tego.

Szukałem pracy w budowlance ponieważ pomyślałem, że przynajmniej jest to praca na świeżym powietrzu. Myślałem: fabryka – to byłby kompletny horror. Jako stolarz przynajmniej wciąż pracujesz z drewnem, jest to w jakimś stopniu znośne, ale dziś, z konstrukcjami z prefabrykatów, nawet tu coraz bardziej pracuje się z wkrętami, jak w fabryce. Nie jest to już robota rzemieślnika.

Na przykład, pracowałem pod czeladnikiem, starym stolarzem z Prus Wschodnich, który znał fach jak nikt w firmie, te dachowe konstrukcje czy szlifownia wymagały naprawdę dużych umiejętności. Wszystko tam pasowało. Ten stary człowiek wiedział to wszystko, a ciągle urywał się z pracy, postrzegał siebie

jako rzemieślnika który potrafi wybudować dom własnymi rękoma. Dla niego liczyło się, by ludzie mieli dach nad głową. W tej pracy się realizował. Ten stary człowiek był dla mnie kimś. Tak to dziś widzę. Wtedy miałem go za idiotę, zabijającego się poprzez pracę tam, kompletne głupstwo, wkładanie ogromnego wysiłku w śmieci. Ale on ciągle znajdował w tym sens. Nikt z pozostałych stolarzy tak nie robił. Redukowali wszystko do miejsca pracy -byli w tym tylko dla pieniędzy.

W swojej pracy osiągasz pewną dawkę wolności. Kiedy naprawdę pracujesz, odnajdujesz w pracy siebie, to właśnie czyni cię rzemieślnik. To nie ma nic wspólnego ze sztuką, nie ma potrzeby wznoszenia tego na poziom sztuki. Rzemieśnictwo to zdolność tworzenia własnymi rękoma czegoś potrzebnego i w pewien sposób dobrze wyglądającego.

Potem pomyślałem: chcesz robić te bezmyślne czynności tylko po to, by zyskać emeryturę czy ubezpieczenie społeczne? Przecież to szaleństwo. Teraz żyję, jestem młody, pomartwię się o to później. W końcu mam pracę, daję sobie finansowo radę i mam trochę radości. Naturalnie, zawsze wolałem biegać za dziewczyną niż za pracą, więcej na tym zyskujesz, i ona również!

Cała historia Gedächtniskirche* (*-kościółka zbombardowanego podczas I Wojny Światowej, który stał się symbolem kultury powojennej, a później kultowym miejscem kontrkultury), z którą się wszystko zaczęło, była czysto proletariacka. Robotnik jest bardziej związany z muzyką rockową niż czymś intelektualnym. To coś bardziej fizycznego, dostrajasz się ciałem, nie umysłem, i tańczysz, to jest coś bardziej twojego, bo jesteś bliżej ziemi. Myślę, że to też sprawa uczucia, jakie wywołuje ten rodzaj muzyki. Cały przekaz tej muzyki, pieprzenie czy jak to chcesz nazwać...czyń miłość, nie wojnę. Robotnikom łatwiej się do tego odnieść.

Na przykład, pamiętam jak nie mogąc wychodzić wieczorami, leżałem w łóżku i słuchałem Radia Luxemburg czy A.N.F. (Armed Forces Radio) – stacji, które grały do późna muzykę rockową. Gdy pierwszy raz usłyszałem „Let`s Twist Again” Chubby Checkera wyskoczyłem z łóżka, by tańczyć – później robiłem podobnie. Intuicyjnie zrozumiałem, co ten gość chciał mi przekazać. Zostało to bardzo dobrze pokazane w „Soul On Ice” Eldridge`a Cleavera (autobiograficznej powieści o walkach społecznych w Ameryce), w rozdziale „Rekonwalescencja”, on

to uchwycił. Całkiem spontaniczne doświadczenie, myślę.

Ten rodzaj muzyki to nie trip Bethovena, nie angażujesz głowy, tylko ciało. Oczywiście, to wyrasta z bluesa, kultury zbieraczy bawełny, która w ten sposób wprowadzała radość do całego dnia pracy. W ten sposób właśnie ta muzyka trafiała raczej do proletariackich niż intelektualnych kręgów.

W tych czasach większość z nas nie miała własnego mieszkania. Mieszkaliśmy w rodzinnych domach i byliśmy całkiem młodzi. Nie mieliśmy po prostu pieniędzy na coś swojego.

Po prostu nigdy nie masz pieprzonego grosza. Jedynie tyle, by starczyło na butelkę czerwonego wina i skręta. Dużo wtedy piliśmy. W '65 nie było za bardzo narkotyków, nikt zbytnio o nich nie wiedział – w najlepszym razie jakieś pigułki szczęścia, speed czy captagon. I ten sam repertuar pechowych historii. Nie było zbyt wielu alternatyw.

Ciągle nie czułeś się częścią lewicy. Ale wszystko, co było w w opozycji było dobre, włączając w to neonazizm. Ale to nie był romantyzm spod znaku swastyki, nikt nie uważał Hitlera za dobrego – on też nienawidził długich włosów! Ten faszyzm był jednak w opozycji, a ty znajdowałeś czystą opozycję lepszą niż miernota drobnej burżuazji. Wszystko, co się na nią nie godziło, uważałeś za dobre.

Dla wielu ludzi sprawy stały się polityczne później, za sprawą Wietnamu i demonstracji, które z tego wyrastały. Wszystko przychodzi razem z demonstracjami. Nasi chłopcy zawsze tam byli – prawdziwe „coś” na ulicy, więc wszyscy poszli w tę stronę. Na początku było zabawnie: mogłeś spotkać tam swoich przyjaciół z Fat Host.

Rozdział II

BUNT STAJE SIE POLITYCZNY. 1966-'68

Przeskok z Gedachtniskirche do S.D.S. dokonał się u mnie dość gwałtownie. Czułem, że nie wykorzystuję swojego potencjału intelektualnego i chciałem skupić się na jego rozwoju, tak więc w 1966 trafiłem na wieczorne kursy. Uczestniczyli w nich ludzie, którzy działali na scenie politycznej już od jakiegoś czasu; siedzieli w tym głębiej niż ja. Z kolei Ja angażowałem się dotąd bardziej w scenę muzyczną, i tym podobne rzeczy - dziś nazywa się to hipisami albo kontrkulturą - które nie były bezpośrednio polityczne. Bardziej interesowała mnie kulturowa strona zjawisk, ponieważ był to obszar życia z którym dotąd najmocniej się utożsamiałem. Na początku '67 dołączyłem do S.D.S. Oczywiście najbardziej lubiłem tam ludzi z K.1 (pierwsza komuna w Berlinie Zachodnim). W jakiś sposób byli mi najbliżsi. Środowisko studentów, tych moli książkowych - nigdy nie umiałem się do niego zbliżyć, to po prostu nie był mój świat. Ludzie z K.1 byli bardziej przystępni. Jako jedyni słuchali muzyki i nosili długie włosy, w przeciwieństwie do tych z S.D.S. którzy zawsze strzygli się na krótko. K.1 była dokładnie tym, czego szukałem: uosabiała alternatywę dla linii S.D.S. która głosiła, że któregoś dnia dojdzie do rewolucji, jednak tu i teraz nie zmieniało to niczego w twojej sytuacji. Dla mnie, K.1 była właściwym połączeniem polityki i kontrkultury; w jakiś sposób tworzyła dobrą kombinację tych rzeczy. Była polityczna - mieli idee polityczne i wiedzę, a jednocześnie posiadali własny styl życia, konkretną alternatywę, to wspólnotowe życie.

Niektóre koncepcje były dla mnie czymś zupełnie nowym: możliwość zmiany samego siebie, stylu życia czy tożsamości. Takich idei nie było w środowiskach bohemy, gdzie każdy pogrążał się w narcyzmie albo odgrywał własne fantazje.

Wielu utknęło tam na mieliźnie, wlewając w siebie Vermut. Niektórzy z nich wciąż kręcą się po środowisku, opowiadając te same historyjki, co dziesięć lat temu, wciąż wyglądają tak samo, i nadal siadają w ten sam sposób przed Gedachtniskirche.

W Komunie 1 chodziło o zanurzenie się w nowym procesie życia (ang: new life process), dzięki czemu zaczynałeś odkrywać własne zdolności rozwoju. To było ważne w K.1 - że poprzez wspólne życie, twoje relacje z ludźmi zmieniały się. Spróbowałem tego i odkryłem mnóstwo nowych rzeczy, pomimo, że na początku nie rozumiałem zbyt dokładnie o czym mówili.

Teoria Reicha, monogamia, i tak dalej. W mojej dotychczasowej paczce wszystko było proste: czasem śpisz z jakąś laską, potem z następną, ciągle się za nimi uganiaasz, one za tobą, i nigdy nie musisz martwić się o te sprawy. Jeśli miałeś długie włosy, zawsze leciało na ciebie mnóstwo dziewczyn, wszystkie te dziewczyny z fabryki (factory girl). Uważały to za coś wspaniałego, takiego gościa, z taką prezencją. Jeśli wyglądałeś zupełnie normalnie nie miałeś na co liczyć, tacy kolesie nie zbudzali zainteresowania. To był naprawdę dobry czas, o wiele lepszy niż teraz. Tak więc, tego typu sprawy wówczas nie interesowały mnie zbyt, to były jakieś burżuazyjne problemy, które wtedy dla mnie nie istniały - wszystkie te psychodramy jakie rozgrywały się wówczas w tych środowiskach. Sprawy miłosne zawsze przebiegały boleśnie, więc Reich, rewolucja seksualna, wszystkie te rzeczy w jakiś sposób mnie ciekawiły. Wiele nauczyłem się wtedy też od Rainera [Langhasa]. Był specjalistą w tej dziedzinie. Wszystko to w K.1 było bardzo dobre, i bardzo kompleksowe.

K.1 było swoistym centrum. Pojawiały się tam wszelkiego rodzaju charaktery, a miejsce to stało się swego rodzaju instytucją. Euforia jednak szybko się ulotniła. Ci kolesie zaczęli żyć we wspólnocie, i zrobili, jak chcieli. Musiał minąć ponad rok nim pojawiły się inne, podobne miejsca. K.1 przez długi czas pozostawała w izolacji. Przypominało to sytuację bolszewików w Rosji. Wtedy również nie przerodziło się to gwałtownie w światową rewolucję; bolszewicy musieli przetrzymać napór z zewnątrz, który stawał się coraz większy. W przypadku K.1 ciśnienie było skutkiem naszych akcji, procesów sądowych itp, ale też dlatego, że eksperyment ograniczał się tylko do jednego domu. Przewijało się zbyt wielu ludzi, skład ekipy ciągle się zmieniał. Model nie rozwijał się

właściwie, bo coś takiego mogło zadziałać dobrze, dopiero gdyby udało się stworzyć kilka takich miejsc, a poszczególne komórki nawiązałyby ze sobą dialog. Tak wyobrażała to sobie K.1: ich styl życia zacznie się rozprzestrzeniać, dzięki czemu cały proces się pogłębi - nie chodziło o odkrywanie rewolucyjnych idei z książek, tylko o coś, co pod każdym względem, natychmiast zostanie przetłumaczone na język działania: nawet w dziedzinach, które wśród nas, Europejczyków, zostały zniszczone najbardziej, takich jak seksualność i relacje międzyludzkie. Jednak K.1 zbyt długo pozostawała samotną wyspą, w efekcie rozpadła się. Powstała co prawda Komuna 2, ale była to już wspólnota czysto polityczna.

Ponieważ, dorastałem na Wschodzie, mój stosunek do idei marksistowskich był nieco kłopotliwy. Doświadczylem katastrofy na własnej skórze. Moją pierwszą książką polityczną była Wojna Partyzancka Che Guevary, a potem biografie anarchistycznych zamachowców. Generalnie, zaczynałem od anarchistycznych rzeczy oraz od Manifestu Komunistycznego i tym podobnych. Przemoc była doskonale adekwatnym środkiem, nigdy nie miałem co do tego wątpliwości.

Nawet w K.1 w '67, zawsze byłem chętny do budowania bomb. Bardzo lubiłem Roya Clarcka* (swoisty ludowy bohater dla ludzi z kontrkultury, tak jak Marlon Delgado, chłopiec, który wykoleił pociąg kładąc monetę na szynach był bohaterem dla Weathermenów w Ameryce), zamachowca, który szantażował koleje. Chciałem nawet zrobić w K.1 ulotkę na jego temat, aby pokazać, że był jednym z nas, że powinien przyjść i nam pomóc, że był w porządku - opanował sferę praxis. Ale inni sprzeciwili się temu pomysłowi. W każdym razie było dla mnie jasne, że rewolucja jest kwestią przemocy i od pewnego momentu musisz zacząć jej używać, a więc przygotowujesz się do tego najwcześniej jak to tylko możliwe. Tendencja zawsze zmierzała w tym kierunku: jeśli zamierzasz robić takie rzeczy, rób je dobrze, ucz się, krok po kroku, by pewnego dnia skutecznie użyć przemocy przeciwko aparatowi. Ten z kolei szybko reagował na tego typu akcje: policyjne pałki, aresztowania, sprawy sądowe (Fritz Teufel), przeszukania domów i wszystko co tylko dało się zastosować w tamtym okresie. Przemoc w kategoriach politycznych nigdy nie była dla mnie żadnym problemem.

Studenci mieli wówczas sporo kłopotów z broniением się przed policją, zwyczajnie z powodu swojego wychowania. Ze mną było inaczej; zawsze oddawałem glinom, gdy próbowali mnie złapać. Dlatego nigdy nie zostałem aresztowany na demonstracji.

Codziennie w K.1, o 10 rano, gdy śniadanie było gotowe i wszyscy siadali razem przy stole, odbywała się prasówka. Każdy z nas czytał gazetę, zaopatrzoną w długopis i nożyczki. Wycinaliśmy fragmenty prasy, by następnie wkleić je do naszego archiwum. Powiększało się ono każdego dnia i wszyscy pracowali nad nim po dwie, trzy godziny dziennie. Archiwum K.1 było ważną częścią naszych doświadczeń z prasą.

Najpierw, wycinane było historie, które miały jakikolwiek związek z naszą grupą, komunardzi dokuczają burmistrzowi, wylali wiadro farby na uniwersyteckiego profesora, albo wydali oświadczenie w sprawie wolnej seksualności - wycinaliśmy wszystkie tego typu rzeczy, a razem z nimi zdjęcia. Do archiwum trafiało także wszystko co dotyczyło polityki, przestępczości, spraw naukowych, narkotyków, muzyki; innymi słowy było to archiwum na każdy temat.

Panowało wtedy ogromne zainteresowanie prasą. Ustalaliśmy zwłaszcza jak prasa reaguje na różne akcje, w jaki sposób interpretuje pewne rzeczy, i pod tym kątem planowaliśmy swoją strategię. W naszej postawie tkwił jednak błąd, ponieważ w ostatecznej analizie stanowisko burżuazji wobec akcji rewolucyjnej jest jasne, nie należy mierzyć swoich działań czyimiś reakcjami. Poświęca się zbyt dużo uwagi mediom, które przecież znajdują się w rękach kapitalistów. Była powszechna tendencja w kierunku ich przeceniania, co później dało nieoczekiwane skutki. W K.1 nie przejmowaliśmy się tym zbyt, bo chcieliśmy rozpropagować ideę komun na świecie. W ciągu dnia, nie dbaliśmy ani o zmywanie ani sprzątanie (rzecz jasna nie warto było o tym nawet rozmawiać), zawsze wpadali do nas jacyś ludzie, i spędzaliśmy czas na rozmowach, albo wychodziliśmy coś załatwić. Piratowaliśmy sporo tekstów, faktycznie to my rozpowszechniliśmy ten zwyczaj. Tutaj również przydatne były nasze archiwa, używane do tworzenia nowych mediów. Cała "Steal Me Book" ("Ukradnij mnie", Wydawnictwo voltaire, Berlin Zachodni, 1968) składała się z rzeczy pochodzących z naszego archiwum.

W tym czasie jedyną laską (ang:chik) z w K.1 była Antje. Sęk w tym że w K.1 wечно się zastanawiano. Ci kolesie zawsze byli w jakiś sposób spięci, nie mogli się po prostu wymieszać razem z laskami, ponieważ zawsze coś sobie na ten temat wyobrażali i budowali wokół tego jakieś oczekiwania. Nie umieli zwyczajnie powiedzieć, "Siemanko". A zawsze kręciła się tam niewiarygodna liczba uczennic, młodych dziewcząt,

które, oczywiście, uważały, że jesteśmy odlotowi. Kolesie mówili więc "To nasz fan club", i tak to wyglądało w K.1; albo wysyłali je, żeby załatwiały dla nich różne sprawy, co wyglądało zupełnie tak jakby były terminującymi u nich praktykantkami. Ta sama historia co zawsze.

Czasem odbywały się dyskusje podczas których analizowane było zachowanie kogoś z nas - czyjś sposób bycia i reagowanie na jakąś konkretną rzecz. Przywiązywano do tego dużą wagę. Nie zawsze było to przyjazne i w duchu solidarności - czasem było kompulsywne. Na przykład sprawa zachowywania się w sądzie.

Zawsze gdy trzeba było się tam udać, w dyskusjach pojawiała się potem tendencja do zwracania uwagi w stylu "niewystarczająco narozrabialiście". Robione ciśnienie, że trzeba coś osiągnąć, dać z siebie więcej. Według mnie to była ciągle ta sama śpiewka, sprowadzająca się do tego, że jedni byli praktykantami, a drudzy poddawali ich ocenie. Jeśli ktoś wyjaśniał mi, że zrobiłem coś źle, mówiłem mu jak ja widziałem to w tamtym momencie, i to wszystko. Nigdy nie przywiązywałem dużej wagi do takich spraw. Stanowiło to część życia w Komunie, więc było ok. Czasem mogło przybierać regularnie sado-masochistyczny charakter, przeobrażając w niekończącą się samokrytykę i narzekanie na innych. Nigdy się w to nie wkręcałem i nie widzę, by dało to jakiegokolwiek efekty. Twoje warunki mogą się zmienić tylko wtedy gdy zaangażujesz się w działanie, a nie przez jakieś psychoanalityczne dyskusje. Czasem chciało mi się od tego rzygać, to rozgrzebywanie, dokopywanie się, ponieważ w ostatecznym rachunku nic z tego nie wynikało.

Zawsze było dobrze gdy planowaliśmy akcje, zawsze wesoło. Gdy się udały, cały dom ogarniała wielka radość. Zawsze było przy tym trochę żartów, zabawy, zawsze się przy tym śmiailiśmy. Nie brakowało też swobodnego kunsztu, dzięki czemu sprawy ukazywały się we właściwej perspektywie, tak że uwidoczniła się ich wartość symboliczna. I zawsze była to wielka rzecz, gdy akcją udało się dobrze przeprowadzić, gdy wracałeś do domu i oglądałeś ją w wieczornych wiadomościach. To zawsze było świetne.

Pewnego razu Fritz Teufel dostał krótką przepustkę z więzienia, z której już nie wrócił - zaczął się ukrywać. Wówczas podaliśmy do wiadomości, że wkrótce stawi się przed władzami, w ratuszu. Teufel chciał tam pójść i zrobić tak zwany be-in (zgromadzenie hipisów - przyp. tłum.). Miał być to pierwszy be-in K.1. Chcieliśmy nagłośnić jego sprawę w przed władzami miasta, sejmikiem, wyłożyć im wszystko prosto przed nosem i zapytać jaki mają do tego

stosunek, tak, żeby machina sprawiedliwości nie mogła już dłużej działać kompletnie anonimowo. Z tej okazji Fritz zgolił brodę; ze zdjęć wszyscy znali go jako brodacza, Teufel był pojęciem z brodą, po czym pojawił się tam razem z nami, dokładnie ogolony, w garniturze, bez okularów, ostrzyżony, rozdając ulotki z napisem "Wolność dla Teufła". Przypuściliśmy szturm na salę obrad, gdzie część z nas usiadła i zaczęła krzyczeć "chcemy żebyście teraz porozmawiali z nam o tej sprawie!". Ale oni ponownie nas wyrzucili i ostatecznie Fritz został rozpoznany, już przed budynkiem, przez jednego glinę i aresztowany. Udaliśmy się więc na posterunek policji, który również zaczęliśmy okupować, tam zostałem złany przez świnię, które nas ścigały.

Gdy trafiłem do K.1 Peter Urbach już był tam aktywny. (Urbach mocno angażował się w środowisko K.1 i jak później się okazało był policyjnym agentem). Naturalnie, nie sypiał tam - Urbach zawsze mieszkał we własnym domu z żoną, dziećmi i teściową. Był sierotą. Był szpiegiem doskonałym, dobrym agentem. Z tymi swoimi historyjkami o własnym sieroctwie zawsze potrafił zjednać osobę, od której chciał coś uzyskać. I zawsze używał tej metody, w sierocińcu oraz wobec adwokatów. Umiał włamać się do twojej psychiki. To była jego technika pozyskiwania informacji, używał jej, by dowiedzieć się wszystkiego, co go interesowało.

Jako, że zawsze pozostawał przyjacielski i pomocny, a w swoich relacjach z ludźmi wydawał się całkowicie godny zaufania, jego problem pozostawał niezauważony. Okazjonalnie zapraszano go, by przeniósł się do K.1 razem z żoną, choć na swój sposób K.1 było także elitarną gromadką; nigdy nie skapowali się kim jest ten koleś. Ja patrzyłem na to w ten sposób: jeśli facet przebywa tam na okrągło, to musi być w porządku. W tamtym czasie nikt jeszcze nie myślał tak naprawdę o problemie infiltratorów. Wspaniałość tamtego doświadczenia polegała na tym, że mogłeś się komunikować z każdym. Dlatego tak łatwo było nas szpiegować.

W społeczeństwie burżuazyjnym ten problem wygląda nieco inaczej. Skarżypyta w szkole, czy ktoś na budowie, kto ciągle chodzi do majstra, są łatwo rozpoznawalni, bo widać, że zachowują się w odmienny sposób.

Historia z poprzecinanymi oponami zdarzyła się około '68. Zrobiłem to mniej więcej sam. Uwolniłem w tej totalnie irracjonalnej akcji wiele agresji. Mieszkałem wtedy na jednym z tych osiedli, gdzie żyje wielu gliniarzy, gdzie widzisz jak samo-

chody stają się ważniejsze od przestrzeni w której mogłyby bawić się dzieci. Pewnego dnia po prostu ogarnął mnie silny wstręt do tych relacji z przedmiotami i wziąłem się za cięcie opon, przeciąłem ich około setki. Innymi słowy, przy pomocy noża przypominającego sztylet udało mi się zniszczyć opony w mniej więcej stu samochodach. "Walk!" Nawet samochód Wielebnego. W pobliżu znajdował się jakiś kościół.

Większość tych aut stała przed wysokościami w którym mieszkali gliniarze. Ale przecież właśnie dlatego to robiłem.

Oczywiście w aktach ubarwili to, żeby wydawało się jeszcze bardziej szalone. Jednak ta akcja przysłużyła się mojemu późniejszemu rozwojowi; w retrospekcji, była to po prostu jedna z tych akcji "dalej, dokop im", które są nieuniknione.

Trzeba zdawać sobie sprawę, że ludzie mogą dojść do takiego punktu w którym jedynym sposobem, aby poczuć się wolnym stają się irracjonalne i agresywne czyny.

To było coś mniej lub bardziej spontanicznego, nic o czym się wcześniej rozmawia. Po prostu włóczyłem się tam, lekko wstawiony.

Gdy wbijasz sztylet w oponę, od razu ją niszczysz - rozcięta z boku na bok: otwiera się jak zamek i schodzi z niej powietrze. Robiłem tak ze wszystkimi czterema. To była szaleńcza robota. Dlatego mnie złapali. Ktoś mnie zobaczył, więc mnie capneli.

Dostałem 9 miesięcy więzienia i musiałem zapłacić za szkody, jakieś 3 czy 4 tysiące marek.

Odsiedziałem cały wyrok, nic nie dało się zrobić.

Natychmiast uniemożliwili mi wyrok w zawiasach.

Prokuratorem był Boehmann, który prowadzi dziś wszystkie procesy polityczne. Sędzia powiedział:

"Dużo lepiej byłoby, gdybyś pociął wszystkie samochody przed Wansee" (bogata dzielnica Berlina).

Oczywiście, wszyscy towarzysze uznali tą akcję za idiotyczną - nawet K.1. Wtedy w Lineck ukazał się list otwarty skierowany do mnie - oni po prostu

uwierzyli w całą historię, tak jak opisały ją gazety.

Przylgnęła do mnie na długo. Było to swego rodzaju odrzucenie, wycofanie mniej lub bardziej, zupełnie niekontrolowane.

Cała sprawa wydarzyła się w tym samym czasie co podpalenie domu towarowego we Frankfurcie, które również zostało potępione przez K.1 w oświadczeniu opublikowanym na łamach Der Spiegel. Ja natomiast w naturalny sposób stanąłem po stronie Baadera, Ensslin, Proll i Soehleina, którzy podłożyli ogień. To była o wiele lepsza akcja od mojej. Nie potępiałem jej; uznałem ją za dobrą. Jednak inni, Rainer i Kunzel [Dieter Kunzelmann] wyrazili dezaprobatę. Pow-

iedzieli, że to psychologiczna porażka, że ci ludzie chcą iść do więzienia. W tym sensie, to nie jest już dłużej polityczne, bo działali tak dyletancko, że od razu zostali aresztowani. Ale właściwie to nie tyle sama akcja, lecz właśnie ta "psychologiczna porażka" wywołała u mnie odruch solidarności, sympatię. W tamtym momencie nie obchodziło mnie czy rzeczywiście podpalili ten sklep, tylko, że chociaż raz jacyś ludzie przewyciężyli narzucone im ograniczenia i coś zrobili - nawet jeśli działali tak, że dali się złapać. To dokładnie w tej sytuacji wszyscy powinni solidarnie wstawić się za nimi, i powiedzieć: "To oczywiste, oni mają rację, to jedni z nas"

Tak zaczął się rozłam z całą lewicą, mówiącą "nie mamy z nimi nic wspólnego" - tą samą śpiewkę słyszałem już podczas Wielkanocy '68. Znow zaczęto powtarzać, że nie powinniśmy nikogo straszyć swoimi akcjami, dystansujemy się do nich, nic nas nie łączy z podpalaczami.

Oczywiście podpalenie było również kwestią współzawodnictwa; próbą wejścia poprzez praktykę na pozycje awangardy. "Awangarda tworzy się sama" - Che Guevara. Kto przeprowadzi poważniejszą akcję ten określa kierunek.

W dyskusjach pojawiał się ogólny zarzut, "jesteś zbyt miękki", i tak dalej. Gdy K.1 robiło w sądzie jakieś akcje, ktoś zawsze później mówił: "mogliście to zrobić lepiej, niepotrzebnie przystopowaliście w tamtym momencie". Takie infantylne gadanie; przypominało mi to zagrywki ze szkoły. Irracjonalne ciśnienie, że trzeba czemuś sprostać, coś osiągnąć, co w ostatecznym rachunku pozostawało jakąś abstrakcją, ponieważ jest to jedynie kwestia czyjejs pewności siebie, i sprawiało, że nagle sprawa stawała się śmiertelnie poważna, tracąc element humoru. To z tego powodu takie akcje jak "happeningi" się nie udawały; nie tylko z powodu opozycji, ale też ze względu na wewnętrzne ciśnienie. W efekcie lekceważono czyjeś osobiste możliwości, a osoba była wmanewrowywana coraz dalej i dalej w sytuacje, co do których nie myślała wcześniej, że w będzie brać w nich udział i robić takie rzeczy.

Na końcu wszyscy w K.1 mieli niezliczone miesiące do odbębnienia: ja z powodu opon, ludzie we Frankfurcie, oczywiście - musisz na to wszystko patrzeć jako na zamkniętą już teraz grupę - inni za zakłócanie spokoju, obrażę glin, trochę tu, trochę tam.

Uzbierało się tego, aż nagle nie wiadomo skąd, przez mały, głupi wybryk, w '69 pojawiła się kwestia zejścia do podziemia.

Rainer był nieźle wystraszony, gdy miał odsiedzieć rok w więzieniu. Nie miał już więcej jasnego obrazu tego, co go czeka - a właśnie on był jednym z tych, którzy naciskali by iść coraz dalej. W tej całej bieganinie, gdzieś po drodze zabrnął poza granice własnych możliwości.

Widzę to w ten sposób, dzięki tamtej sprawie z oponami. Tamta sytuacja mocno mnie wtedy zdołowała. Dopadło mnie to demoniczne błędne koło: chodzenie do roboty, i na dalszym planie, dom moich rodziców. To wszystko zważyło się na mnie, bo nie byłem rzeczywiście zakorzeniony, nie wiedziałem czego tak naprawdę chcę. Oczywiście, w momencie takim jak ten, istnieje prawdopodobieństwo, że dokonasz jednego z tych prawdziwie radykalnych kroków, i świadomie wszystko odrzucisz, wysadzając wszystkie zakazy, a wtedy możesz zacząć sięgać, iść jeszcze dalej. Ale oczywiście, możesz decydować o tym tylko za siebie. Na tym polega zasadnicza różnica: mówić, że powinieneś zrobić w sądzie coś więcej to nonsens, ale jeśli zaplanujesz to samodzielnie jako własne wyzwanie i widzisz że masz do tego wystarczająco dużo energii, to zrób to.

Każdy niewolnik tylko czeka na moment, kiedy nadzorca użyje swojego bata - aby zadusić go wtedy swoimi łańcuchami, oczywiście jeśli wciąż jeszcze ma w sobie wystarczająco dużo siły i godności. Siła bezsilnych znajduje swój wyraz w spontanicznym działaniu, jest to jednak sprawa czysto indywidualna. Tak można wyjaśnić terror dawnych anarchistów.

Rewolucję robisz również dla siebie. Musi ona zawierać wszystkie aspekty niezbędne, abyś mógł dzięki niej rozwinąć się i jakimś sposobem odnaleźć właściwą drogę, tak by ten drobno-burżuazyjny nonsens nie ograniczał cię już więcej; im radykalniej wyrwiesz się spod kontroli, tym lepiej. Codzienne mechanizmy, które na nas oddziałują są o wiele silniejsze niż wyjątkowa sytuacja, którą stworzysz sobie poprzez jakąś akcję. Dzięki temu łatwiej ci będzie zyskać jasność, bo w pewnym momencie ty określasz kierunek. Nie jest to już coś robionego tobie; przeciwnie, zaczynasz zyskiwać na to wpływ. Wtedy właśnie istotne staje się czy poprawnie oceniłeś swoje siły - co jest także poznaniem samego siebie.

Wówczas pojawia się propaganda czynem, która poza tym jest czymś jeszcze - tu także decydujesz tylko za siebie, ale w ramach mas, bardzo konkretnie, podczas ulicznych zamieszek. Tutaj budujesz propagandę, przez stawanie gdzieś w pierwszym rzędzie i rzucanie kamieniami w świnie. Twoje zachowanie w tych ramach ma inny skutek niż nocne akcje, które stają się znane dzięki mediom - w ich przypadku decyzja

jest o wiele bardziej indywidualna. Podczas ulicznych zamieszek także ma miejsce propaganda czynem, jednak nie robisz jej jako jednostka. Zbiera się grupa osób, które rzucają kamieniami, nie pozwalając glinom się zbliżyć. Demonstrujecie innym siłę, a wówczas oni dołączają i zaczynają w tym uczestniczyć. Pokazują, że nie jesteśmy bydlęciem rzeźnym, które można tłuc pałką po głowie; umiemy się bronić, to jest możliwe, to jest inna niż dotąd relacja - z mnóstwem własnych aspektów.

W czasie zamachu na Rudiego Dutschke byłem całkowicie zaangażowany w scenę polityczną i uważałem się za politycznego aktywistę, bardzo świadomie, uważałem, że rewolucja jest alternatywą, tak jak na Kubie czy w Chinach, czy nawet jak w Kronsztadzie. W tamtym czasie Rosja i Niemcy Wschodnie coraz mniej dla mnie znaczyły. Znałem się na tym wszystkim. Od '65 dużo czytałem, i lubiłem to - zawsze miałem przy sobie jakąś książkę, by mieć co czytać podczas przerw w pracy i w autobusie. Nie czytałem prasy springerowskiej. Opuściłem K.I i zacząłem chodzić do pracy. Czasem mieszkalem w domu. Istniały jeszcze inne miejsca do których chodzili ludzie w klimatach. To wtedy za pośrednictwem The Living Theater, do Berlina zawitały narkotyki.

Ponieważ miałem dostęp do różnych środowisk, tych ze sceny politycznej jak i do ćpunów, mogłem obracać się w szerszych kręgach: zarówno w sekcji takiej jak Maerkisch Quarter jak i w tawernach robotniczych. Bardzo mi się to podobało. Czasem mieszkalem w jednym z wagonów na Kreuzbergu albo dołączałem do kapeli, grałem na harmonijce, wygrywałem melodyjki, po prostu dobrze się bawiłem. Zawsze pracowałem na budowie jako brukarz albo przy cemencie.

Do Wielkanocy znałem Rudiego z S.D.S. i z masy innych miejsc. Rudi był inny niż studenci. Często bywałem z nim w uniwersyteckiej kafeterii, gdzie siadywaliśmy razem przy stoliku - było tam najtaniej - gawędziliśmy albo później opiekowaliśmy się jego dziećmi. Zawsze miałem z nim dobry kontakt. Był naprawdę niesamowitym facetem.

Rudi mówił dość abstrakcyjnie i nie wszyscy rozumieli to co mówił - w każdym razie ja tego nie kumałem - ale jeśli zacząłeś z nim po prostu rozmowę, okazywał się całkowicie normalnym człowiekiem, naturalnym, jak wszyscy inni; i w sumie to właśnie było najważniejsze.

Miał jednak siłę - natychmiast było to widać: ten facet nie był mołem książkowym ani retorycznym

mądrałą, on naprawdę świetnie sobie ze wszystkim radził. Gdy spotykało się go w biurze S.D.S., w jego mieszkaniu, zawsze sprzątał, robił porządek, dbał o różne sprawy. Wiedziałeś, że ten człowiek cię nie szuka.

To także miało znaczenie: wielu robotników nie angażowało się z tego powodu w ruch studencki. Instynktownie widzisz, że na czele znajduje się gość z którym zawsze miałeś problemy. To zdrowa nieufność, wciąż obecna - to właściwie ostatnia część świadomości klasowej, jaka pozostała nietknięta wśród robotników. To z jej powodu nie zaangażowali się w te studenckie rzeczy, w A.P.O, był to wynik świadomości klasowej.

Niemiecka klasa robotnicza została sprzedana przez wszystkich, przez socjalistów i przez szaleńca Hitlera. Każdy przychodził i srał na nich na wskroś, od czerwonych po czarnych, od Komunistów po Nazistów. W żadnym innym kraju nie wyglądało to w ten sposób, tak więc robotnicy mają dobre powody, by już więcej się nie angażować.

Ale jeśli chodziło o Rudiego, faceta takiego jak on, natychmiast orientowałeś się, że jest w porządku, że pójdzie za tobą w ogień. Nie ucieknie gdy sprawy przybiorą zły obrót. W przypadku innych studentów,

przyglądałem się i sprawdzałem, emocjonalnie: "jak on by się zachowałby w innej sytuacji?"

Gdy dziś myślę o tym jak postrzegałem wtedy ludzi, instynktownie bądź emocjonalnie, okazało się, że miałem rację. Wielu studentów cechowała swego rodzaju arogancja. Tak więc nieufność była uzasadniona. (...)

Wyszedłem poza swoje środowisko i zaangażowałem się w politykę, zupełnie samodzielnie. W tym politycznym tripie brało udział niezbyt dużo osób: z naszej grupy wszedłem w to jako pierwszy. Brałem ze sobą do pracy ulotki, albo Biblię Mao, albo notatki "Wywłaszczyć Springera", lub Extrablatt. Wszędzie gdzie się udawałem, rozdawałem ulotki. Przyjaciołom, których znałem jeszcze ze szkoły, dawałem też książki. Starłem się agitować we wszystkich środowiskach do jakich udało mi się dotrzeć. Oczywiście miałem z tymi ludźmi dobry kontakt, ponieważ znaliśmy się już wcześniej, czy to jako robotnicy, czy jako kumple ze szkoły, i wiedzieli oni, że jestem jednym z nich. Zawsze miałem potem możliwość z nimi porozmawiać, a oni ze mną, bo razem pracowaliśmy itp. Oni też często czytali Mao. Ale potem zmieniałem pracę, traciliśmy ze sobą kontakt, i nie wiedziałem już co dalej działo się z tymi ludźmi.

Rozdział Trzeci

Wielkanoc '68

Cała historia zaczęła się już podczas wizyty Szacha w czerwcu '67 gdy zastrzelono Ohnesorga* - zupełnie nieszkodliwego człowieka. Po czymś takim, wszystko się zmieniło.

Dwa dni wcześniej spotkałem go w biurze Extrablatt, gdzie składał zamówienie, a ja pomagałem przy wyprzedaży. Widziałem go wtedy przelotnie. A potem, trzy czy cztery dni później, stałem nad jego trumną gdzie doznałem naprawdę szalonego przeblysku. Ciężko to opisać: zaczęło się we mnie dziać coś strasznego. Nie potrafiłem sobie z tym poradzić; że jakiś idiota przyszedł i zastrzelił bezbronnego człowieka.

Brałem udział w wielu barowych bójkach, lecz nawet mimo tego, że niektóre z nich bywały naprawdę poważne, zawsze starałem się zachować pewne pozory sprawiedliwości. Przez jakiś czas nawet

boksowałem; miałem odmienny, całkowicie jasny stosunek do przemocy. Ale coś takiego jak to, było dla mnie po prostu bezwzględny morderstwem. Benno Ohnesorg. Oszalałem przez to. Kiedy jego trumna zaczęła opadać, gdy tarła o ściany grobu, wtedy właśnie coś się zaczęło.

Co do zamachu na Rudiego: wróciłem do domu z pracy i pojechałem do K1. Właśnie dostałem wypłatę. Była Wielkanoc, więc zaczynało się kilka dni wolnego i spodziewałem się, że fajnie spędzę ten czas. A wtedy, gdy wszedłem do środka i powiedziano mi co się stało, po prostu nie chciałem w to uwierzyć.

Poszliśmy więc na Uniwersytet Techniczny, a następnie oczywiście pod Springera na ul. Kocha. Po drodze wybiliśmy wszystkie szyby w Domu Ameryki. Idąc na ulicę Kocha całe moje życie przebiegło mi

przed oczami. Wszystkie sytuacje, gdy zostałem pobity, wszystko co przydarzyło mi się niesprawiedliwego. Oburzenie z powodu zamachu na Rudiego było tak wielkie, że jeszcze tej samej nocy doszło do zamieszania w każdym niemieckim mieście. W powietrzu wyczuwało się tyle współczucia, że świnie nie ośmieliły się wtrącać. Zachowywali się inaczej niż zwykle. Byli wśród nich gliniarze, którzy mówili, dzieciaki naprawdę was rozumiemy, ale nie przesadźcie. Wśród tego całego chaosu, naprawdę do nas mówili.

Wtedy, gdy biegłem ulicą, a wokół podpalano i krzyczano w obronie Rudiego Dutschke, był to dla mnie pełny wyraz towarzyszących temu wydarzeniu uczuć. Ta kula była również dla ciebie, po raz pierwszy, naprawdę do ciebie strzelali.

Nie robiło to żadnej cholernej różnicy kto pociągał za spust. Od teraz wszystko było jasne: trzeba w nich uderzyć, żadnych więcej usprawiedliwień.

Ale ludzie nie w pełni w tym uczestniczyli; naprawdę angażowali się tylko ci z przodu; reszta tłumu cofnęła się albo od tyłu podawała ci kamienie do ręki.

I wtedy właśnie spotkałem mojego szczególnego przyjaciela Petera Urbacha, która miał ze sobą te bezcenne mołotowy, (...). Wyjeliśmy z jego samochodu koktajle i obrzucaliśmy nimi ciężarówkę Springera. To było coś niesamowitego. Tam właśnie, naprawdę pojąłem w czym rzecz, koncepcję masowej walki - terroryzmu, problem nad którym rozmyślałem od tak dawna stał się wówczas dla mnie zrozumiały. Na tym polegała szansa leżąca przed ruchem rewolucyjnym: na istnieniu zdeteterminowanej grupy, działającej równocześnie z masami, wspierającej je poprzez terror.

Stojąc tam, na wprost płomieni, zrozumiałem, że właśnie w ten sposób można coś zdziałać. Następnie razem z kilkoma grekami pobiegliśmy za róg, gdzie znajdowało się jedno z biur Junty i je również zniszczyliśmy.

Tamtej nocy wydarzyło się mnóstwo szalonych rzeczy; to dawało energię, naprawdę niezłego kopa. Nagle miałeś poczucie wpływu, udawało ci się coś zdziałać. Oczywiście było to dobre również dlatego, że było w tym sporo humoru, co na wiele osób działało pobudzająco. (...) Do tej pory stosowali przeciwko nam małe policyjne pałki albo strzał pana Kurassa; ale teraz to się zaczęło, ludzie zaczęli być konkretnie atakowani.

Powszechne prowokacje i szczucie wytworzyły klimat w którym drobne dowcipy już nie działały. Nie, gdy oni zamierzali cię zlikwidować, bez względu na to co robisz. Zanim dam się znów wywieźć do Autschwitz, będę raczej strzelał jako pierwszy, teraz stało się to

jasne. Jeśli na końcu drogi czeka na ciebie szubienica, z góry masz prawo odpowiedzieć przemocą.

Jako, że dorastałem na Wschodzie, odebrałem komunistyczne wychowanie. Dlatego, faszyzm i pojęcie Auschwitz miały dla mnie inne znaczenie. Ci sami ludzie, którzy zagazowali 6 milionów Żydów, prześladowali cię teraz z powodu twoich włosów, przez cały czas było to jedno i to samo. Te śmieci nie miały prawa mówić mi jak mam obcinać włosy, albo czy obcas moich butów mogą mieć 9 czy 1 cm wysokości.

Uważałem, że Wielkanoc '68 była naszą wielką szansą, gdyż wszyscy przeżyliśmy to w ten sam sposób, ale tylko dlatego, że dotyczyło to Rudiego Dutschke. Gdyby to był ktoś inny, ktoś nieznan, sprawy nigdy nie potoczyłyby się w ten sposób. Rudi był trochę jak James Dean dla generacji rocka, był idolem o symbolicznej wartości. Ale poza tym, to było spontaniczne doświadczenie, szalenie mocne. Gdybyśmy kontynuowali działanie w tej samej formie, prawdopodobnie włączyłyby się inne środowiska, jak podczas paryskiego Maja; przyciągnęło by to coraz więcej i więcej ludzi.

Nic z tego jednak nie wyszło z powodu ugodowców. Zabrakło konsekwencji w podążaniu tą drogą; wszyscy wskoczyli na wózek burżuazyjnej prasy i mówili "czy nie wystraszymy ludzi, jeśli będziemy wyglądać zbyt radykalnie?" Dominowała chęć, by zająć się wyjaśnianiem wszystkiego ludziom. Nie była to już kwestia wspólnego doświadczenia. Ludzie zaczęli wprowadzać w swoich głowach podział na tak zwanych upolitycznionych i robotników. W ogóle nie widzieli, że "to tutaj jest moją sprawą i robię to dla siebie" - gdyby tak było, sprawy wyglądałyby zupełnie inaczej. Takim sposobem zdobywa się zwolenników: jeśli jest ktoś kto całkowicie oddaje się swojej sprawie, to taka osoba będzie przyciągać ludzi, gromadzić ich razem.

Niemiecka lewica nigdy tego nie załapała. Wpadała w pułapki zastawione przez prasę. Gdy tylko okazywaliśmy determinację, jej działacze mówili "nie odstraszać ludzi". Ale to właśnie determinacja miała siłę przyciągania ludzi, a podejrzliwość i obiekcje wyparowałyby. Ludzie zaczęliby mówić "ci ludzie nie zamierzają porzucić swojego celu". Totalna solidarność wytłumaczyłaby wszystkim więcej niż krótkie, szybko gasnące zamieszki, zakończone kolejnym podziałem na frakcje, które po okopaniu się na swoich pozycjach prowadziłyby wzajemne wojny podjazdowe.

W pierwszych dniach po Wielkanocy nadal wyczuwało się atmosferę wspólnotowości. Niedługo później był pierwszy maja i na ulice wyszło

ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi, tworząc wielką zjednoczoną manifestację. W tym czasie A.P.O. wciąż przyciągało tłumy. Niewiele wskazywało na to, że ludzie zapatrują się na sprawy inaczej od nas. Znajdowaliśmy się w korzystnej sytuacji: Nic nie zostało jeszcze wtłoczone w sztywne ideologiczne ramy z ich zasadami, opiniami, słusznymi liniami oraz wszelkiego rodzaju dogmatami i rytuałami. Wszystkie drogi pozostawały otwarte, na tym właśnie polegała nasza niezniszczalność. Opozycja nigdy nie mogła w pełni osiągnąć takiej pozycji. Wieczorem po spaleniu aut, wsiedliśmy do Volkswagena i jeździliśmy razem z Urbachem i Fritzem po okolicy, z kratą pełną koktajli mołotowa i zastanawialiśmy się co jeszcze możnaby zrobić. Było już za późno na fabryki; dochodziła 2 w nocy, a od 2 w zakładach byli ludzie. Rozglądaliśmy się więc za czymś innym, ale niczego nie udało nam się wymyślić. Rozważaliśmy podpalenie Opery, ostatecznie jednak wróciliśmy do domu. Nadal chcieliśmy pojechać do Schwanenwerder, gdzie Springer miał willę. Ją również chcieliśmy zobaczyć stojącą w ogniu. Jednak nikt z nas nie wiedział gdzie ona dokładnie się znajduje. Zagadnienia związane z terrorem nabrały dla nas realnego znaczenia. Musisz zdawać sobie sprawę, że bez przygotowania, logistyki, wiedzy i doświadczenia, twoje plany pozostaną tylko fantazją. Nic nie uda ci się wskórać.

Możesz jednak dostrzec leżące przed tobą możliwości: mała zdeterminowana grupa może posunąć konflikt nieco naprzód, sygnąć potężną ilość piachu w tryby systemu. Gdy tak jeździliśmy po mieście bez celu, zaczęło docierać do nas, że to nie może tak dalej wyglądać, trzeba się konkretnie przygotować, aby cokolwiek zdziałać w tym kierunku.

Rudi opisał ten problem w w swojej przedmowie do "Listów do Rudiego D", broszury wydanej przez Wydawnictwo Voltaire.

Bardzo dobrze wyjaśnił tam tą problematykę: co zdeterminowana grupa może w tym momencie zrobić, na osiągnięcie jakich celów może liczyć. Tej nocy jasno zderzyliśmy się z tym problemem. Na parkingu Springera widzieliśmy wyraźny efekt naszych działań, jednak zaraz potem wpadliśmy w próżnię, energia, aktywność, nie mogły znaleźć dalszego ujścia, brakowało planu. Twoje wymagania były teraz inne. Nie mogłeś już dłużej polegać na spontaniczności. Gdy K.1 przeniosła się na ulicę Stefana, jej członkowie zajęli się rzeczami, które robiliśmy w '65, w ślad za tym przyszły narkotyki. Innymi słowy, chcieli dotrzeć tam skąd się wywodziłem. Ja jednak chciałem teraz iść w innym kierunku, w stronę terrorizmu. Nie zamieszkałem z nimi na ulicy Stefana.



Wspomnienie Michaela "Bommiego" Baumanna to osobista relacja człowieka, który pod koniec lat '60 dołączył do lewicowego podziemia zbrojnego w Niemczech Zachodnich, stając się członkiem "Ruchu 2 Czerwca", jednej z najważniejszych grup partyzantki miejskiej tamtego okresu. Jak sam napisał "Trzeba zrozumieć dlaczego ludzie obierają drogę walki zbrojnej, jak do niej dochodzą, w jaki sposób sadzone są jej ziarna, jakie stoją za tym emocje, oraz jakiego rodzaju przemyślenia i predyspozycje psychiczne są potrzebne aby przezwyciężyć strach, towarzyszący takiemu wyborowi".

Po kilku latach wyczerpany walką Baumann złożył broń. W międzyczasie zginęło dwóch spośród jego bliskich przyjaciół i towarzyszy broni. Napisał, że ciągłe działanie w podziemiu wyalienowało go od życia i od ruchu. Stało się dla niego jeszcze jedną przymusową rolą. Nie potępił partyzantki, uznał jednak, że w warunkach zachodnich taka przemoc się nie sprawdza, i jak to określił w książce, postanowił wybrać "miłość". Krytycy zarzucili mu, że zdradził ideały i górę wzięła w nim skłonność do używek.

Po latach okazało się, że jego motywy nie były wcale takie czyste. Będąc w podziemiu współpracował ze Stasi, pomagając jej w gromadzeniu danych na temat dziesiątek osób z ruchu i podziemia. Co myślał naprawdę? Do dziś trudno powiedzieć. Wydana w 1975 r. "Jak to się wszystko zaczęło" była zapewne elementem autokreacji, mającym ułatwić Baumannowi powrót do "normalnego życia". Nie zmienia to jednak faktu, że książka dostarcza nam wielu autentycznych i interesujących obrazów z życia przedstawiciela pokolenia 1968 roku, który kładąc na szali własne życie, z bronią w ręku włączył się do radykalnej walki o obalenie systemu imperialistycznego i powstrzymanie zbrodni kapitalizmu.

Pierwszy nakład książki, która ukazała się w 1975 r. został skonfiskowany przez policję. Dzięki temu zyskała ona tak duży rozgłos, że w kolejnych latach została przetłumaczona na 6 języków, a niemiecka cenzura musiała ustąpić. Niniejsza broszura zawiera tylko dwa pierwsze jej rozdziały. Całość ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Grecja w Ogniu.

